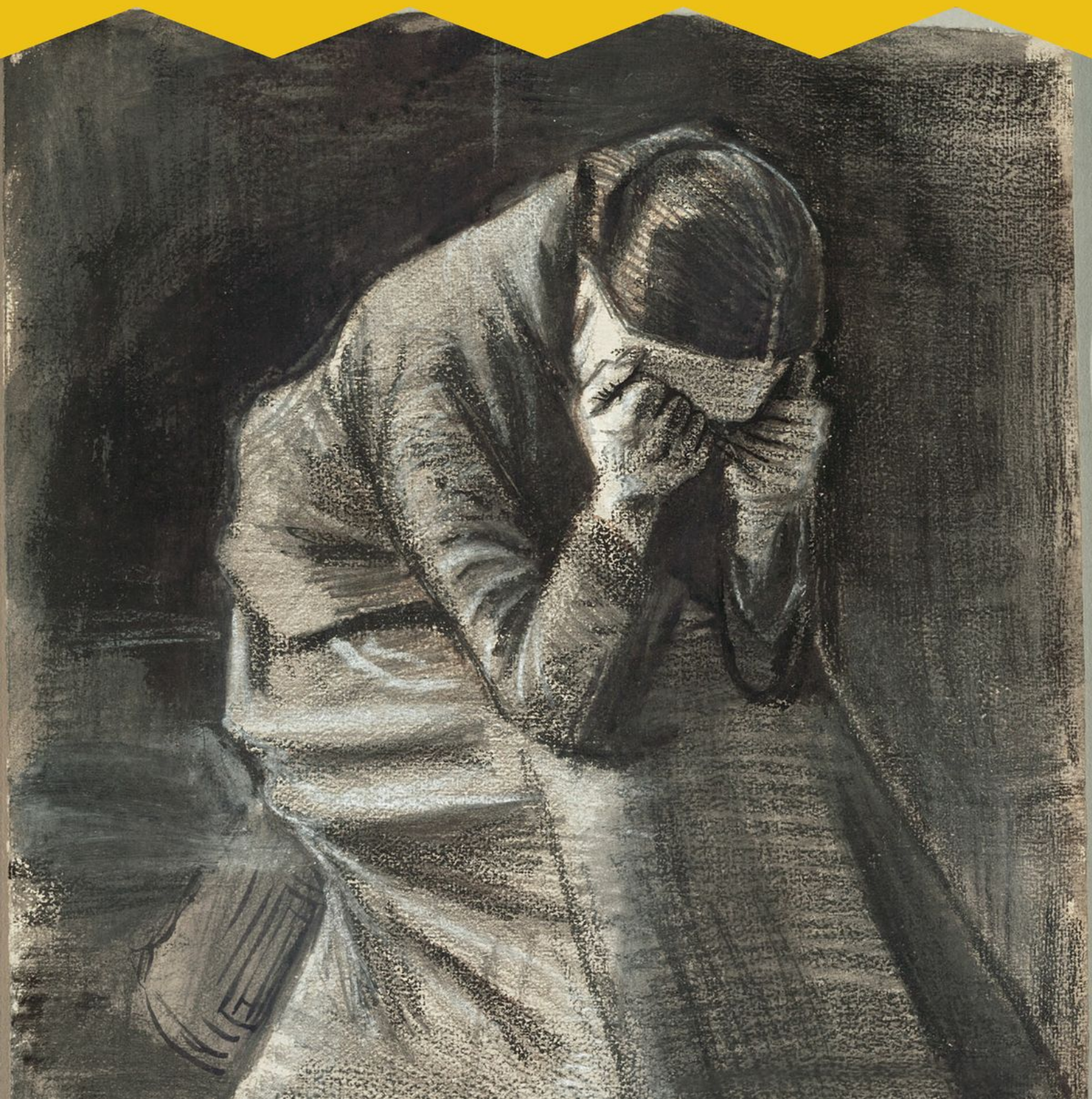


Bezbronna istota



ANTON CZECHOW

Bezbronna istota

TEUM. A. W.

Nie bacząc na silny atak podagry w nocy i wynikające stąd zdenerwowanie, Kistunow rano udał się do biura i najgorliwiej zaczął przyjmować interesantów banku. Wyraz twarzy miał ponury i zmęczony, ledwo był zdolny mówić, ledwo oddychał — jakby niebawem miał spocząć w grobie.

— Czym mogę służyć? — zwrócił się do kobiety w przedpotopowej salopie, której forma z tyłu przypominała niby chrabąszcza.

— Proszę Waszej Ekscelencji — zaczęła prędko trajkotać nieznaną — mój mąż, asesor kolegiálny Szczukin, chorował pięć miesięcy i gdy, z przeproszeniem pańskim, leżał w domu i leczył się, bez żadnej przyczyny dano mu dymisję, a kiedy przysłałam po pensję, to proszę Waszej Ekscelencji, wytrącili mu z pensji dwadzieścia cztery ruble trzydzieści sześć kopiejek. — „Za co?” — pytam. — „A bo on brał pieniądze z kasy wzajemnej pomocy i koledzy za niego poręczyli”. — Co takiego?... Czy on miał prawo brać bez mego pozwolenia?... To niemożliwe, proszę pana. Cóż to znaczy?... Jestem biedna kobieta i żyję z lokatorów... Jestem słaba, bezbronna istota... Wszyscy mnie krzywdzą i nikt mi dobrego słowa nie powie.

Petentka zaczęła mrugać oczyma i szukać chustki w salopie. Kistunow wziął od niej podanie i uważnie je przeczytał.

— Co to jest takiego, proszę pani? — wzruszył ramionami — nic nie rozumiem! Widocznie łaskawa pani mylnie trafiła. Prośba pani zupełnie nas nie dotyczy. Niech się pani zwróci do instytucji, w której mąż jej pracował.

— Ach, drogi panie, byłam już w pięciu miejscach i nigdzie nawet nie chciano przyjąć podania — odpowiedziała Szczucina. — Już głowę straciłam, nie wiedząc, co czynić, ale zięć mój, niech mu Bóg da zdrowie, poradził mi udać się do pana: — „Niech się mamusia zwróci do pana Kistunowa — to jest człowiek wpływowy, może dla mamusi wszystko zrobić”. — Niechże mi Wasza Ekscelencja pomoże!

— Nic nie możemy dla pani zrobić. Zechciej pani zrozumieć: mąż pani, o ile miarkuję, pracował w wydziale wojskowo-lekarskim, a nasza instytucja jest zupełnie prywatna, handlowa, to jest bank. Czy pani tego nie rozumie?

Kistunow jeszcze raz wzruszył ramionami i zwrócił się do następnego interesanta ze spuchniętym policzkiem, w wojskowym uniformie.

— Wasza Ekscelencjo — poczęła na nowo Szczukina żalonym głosem swoje wywody. — Mąż mój był istotnie chory i mam na to świadectwo lekarskie. Oto jest, niech pan spojrzy.

— Doskonale, wierzę pani — mocniej rozdrażniony, odparł Kistunow — ale powtarzam, to nas nie dotyczy. Dziwna i nawet śmieszna historia! Czy mąż pani nie wie, dokąd się trzeba zwracać?

— On, Wasza Ekscelencjo, nic nie wie i tylko powtarza ciągle w kółko: — „Nie twoja sprawa, wynoś się!...” — A czyjaż to sprawa?!... Przecież na moim karku siedzi! Na moim!

Kistunow znowu zwrócił się do Szczukinej i począł jej tłumaczyć, jaka jest różnica między wydziałem wojskowo-lekarskim a prywatnym bankiem. Słuchała uważnie, potakiwała głową, w końcu zaś rzekła:

— Tak, tak, tak... rozumiem, proszę pana. W takim razie niech Ekscelencja każe mi wydać chociażby piętnaście rubli. Gotowa jestem wziąć nie wszystko od razu...

— Uf... — odetchnął ciężko Kistunow, odrzuciwszy głowę w tył. — Nie można pani wbić w głowę tego, co mówię! Niechże pani zrozumie nareszcie, że zwracać się do nas z taką prośbą, jest to to samo, co na przykład, składać podanie o rozwód w aptecę albo w mennicy. Pani nie dopłacili, tak, to prawda, ale nas to obchodzi?

— Wasza Ekscelencjo, przez całe życie będę się za pana modliła, zlituj się pan nad biedną sierotą! — zaczęła płakać Szczucina. — Jestem kobieta bezsilna i bezbronna... Ledwo żyję... Z lokatorami po sądach się włóczę, za męża się staraj i wedle gospodarstwa biegaj, a tu jeszcze do spowiedzi się szykuję i zięć bez posady... Tylko się zdaje, że jem i piję, a ledwo na nogach się trzymam... Całą noc nie spałam...

Kistunow poczuł, jak mu serce bije. Zrobił minę męczennika, przyłożył rękę do serca i począł znowu jeszcze raz to samo tłumaczyć Szczukinej, ale głos mu się zerwał...

— Nie, przepraszam, nie mam sił z panią mówić — powiedział i machnął ręką. — Aż mi się w głowie kręci. Pani i nam przeszkadza, i sama czas traci. Uff, Aleksy Mikołajewicz — zwrócił się do jednego z urzędników — niech pan, z łaski swojej, postara się tę sprawę wytłumaczyć pani Szczukinej.

Kistunow pozalaatwiał wszystkich interesantów, wrócił do swego gabinetu, podpisał z dziesięć dokumentów, a Aleksy Mikołajewicz wciąż jeszcze zajęty był Szczukiną. Siedząc u siebie w gabinecie, Kistunow długo słyszał dwa głosy: monotony, powściągliwy bas Aleksego Mikołajewicza i płaczący, skwierczący głos Szczukinej.

— Jestem kobieta chora — mówiła Szczukina — może na pozór jestem krzepka, ale jeżeli się przyjrzeć, to we mnie ani jednej żyłki zdrowej nie ma. Ledwo na nogach stoję i apetyt straciłam... wprawdzie, piłam dziś kawę, ale zupełnie nie czułam jej smaku.

A Aleksy Mikołajewicz tłumaczył jej różnice między wydziałami i skomplikowany system składania podań. Wkrótce jednak się zmęczył i prosił o zastępstwo buchaltera.

— Wyjątkowo nieznośne babsko — oburzał się Kistunow, łamiąc sobie palce i co chwila podchodząc do karafki z wodą. — Jakaś idiotka, podeszwa! Mnie prawie zamęczyła i ich zgnębi — wstrętna! Uf! jak mi serce bije.

W pół godziny potem zadzwonił. Przyszedł Aleksy Mikołajewicz.

— No, cóż tam z tą babą?

— W żaden sposób nie możemy jej się pozbyć! Jesteśmy już wprost z sił wyczerpani. My swoje, ona swoje.

— Ja... ja nie mogę znieść jej głosu... Chory jestem... nie wytrzymam...

— Zawołam szwajcara — powiedział Aleksy Mikołajewicz — niech ją wyrzuci.

— Ależ nie, nie! — zląkł się Kistunow. — Zacznie wrzeszczeć, a w tym domu mieszka wielu lokatorów i diabli wiedzą, co o nas pomyślą... Postarajcie się, moi drodzy, jakoś jej wytłumaczyć, że jej sprawa nas nie dotyczy.

Po chwili znowu zadźwięczał głos Aleksego Mikołajewicza. Po kwadransie zaś jego bas ustąpił donośnemu tenorowemu głosowi buchaltera.

— Wy-ja-t-kowo nieznośna baba! — oburzał się Kistunow, nerwowo wzruszając ramionami. — Głupia, jak gęś, pal ją diabli! Zdaje się, że znowu wraca moja podagra... Znowu migrena...

W sąsiednim pokoju Aleksy Mikołajewicz, wreszcie zupełnie wyczerpany, uderzył palcem w stół, a potem zaś dotknął się czoła:

— Słowem, pani ma na plecach nie głowę, a ot co...

— No, proszę, proszę — obraziła się stara — swojej żonie stukaj!... Ananas!... Ręce przy sobie trzymaj!

Patrząc na nią z nienawiścią i wściekłością, jakby ją chciał połknąć, Aleksy Mikołajewicz wyrzekł cichym, przytłumionym głosem:

— Wynoś się stąd!

— Co-o?! — zawyla nagle Szczukina. — Jak pan śmie?! Jestem słaba, bezbronna kobieta. Jak pójdę do adwokata, to po tobie śladu nie zostanie. Trzech lokatorów wpa-kowałam do kozy, a za twoje zuchwałe słowa będziesz się jeszcze u nóg moich tarzał. Ja do waszego generała pójdę. Wasza Ekscelencjo! Wasza Ekscelencjo!...

— Wynoś się stąd, cholero jedna! — zaryczał Aleksiej Mikołajewicz.

Kistunow otworzył drzwi i wyjrzał do kancelarii.

— Co się stało? — spytał płaczącym głosem.

Szczukina, czerwona jak rak, stała pośrodku pokoju i przewracając oczami, uderzała palcem w powietrze przed siebie. Opodal urzędnicy banku, również czerwoni ze zmęczenia, zmordowani, spoglądali na siebie wzajemnie.

— Wasza Ekscelencjo — rzuciła się ku Kistunowowi Szczukina. — Oto ten, ten tutaj! — wskazała na Aleksiego Mikołajewicza — postukał palcem po stole, a potem po czole... Pan mu kazał sprawę rozpatrzyć, a on się naigrawa! Jestem słaba, bezbronna kobieta. Mój mąż jest asesorem kolegiąlnym, a ja sama jestem majorówna!

— Dobrze, proszę pani — zajęczał Kistunow — ja rozpatrzę... postaram się... Niech pani przyjdzie... później.

— A kiedy dostanę, Wasza Ekscelencjo? Mnie pieniądze dziś są potrzebne.

Kistunow drżącą ręką potarł czoło, westchnął i znów ją tłumaczyć rzecz całą od początku.

— Łaskawa pani, ja już powiedziałem. Tu jest bank, instytucja prywatna, handlowa. Czego pani od nas chce? I niech pani nareszcie zrozumie, że pani nam przeszkadza.

Szczukina wysłuchała i westchnęła.

— Tak, tak — potakiwała. — Ale niech pan będzie łaskaw, całe życie będę się za pana modliła, Ekscelencjo, proszę być dla mnie wyrozumiałym, jak ojciec rodzony. Jeżeli świadectwa lekarskie nie wystarczą, to mogę przedstawić świadectwa z cyrkułu. Niech pan każe wydać mi pieniądze.

Kistunowowi zamroczyło się w oczach. Wydął powietrze, jakie tylko miał w płucach, i bez sił upadł na krzesło.

— Ile pani chce? — zapytał słabym głosem.

— Dwadzieścia cztery ruble trzydzieści sześć kopiejek.

Kistunow wyjął z kieszeni pugilares, odliczył dwadzieścia pięć rubli i podał Szczukinej.

— Bierz... i odchodź!...

Szczukina zawinęła w chustkę pieniądze, schowała je i ze słodkim, delikatnym, nawet zalotnym uśmiechem spytała:

— Wasza Ekscelencjo, a czy nie mógłby mój mąż znowu wrócić na posadę?

— Odjeżdżam... jestem chory... — powiedział Kistunow mdlejącym głosem. — Mam straszne bicie serca...

A gdy rzeczywiście wyszedł do domu, Aleksy Mikołajewicz posłał woźnego po krople laurowe i wszyscy urzędnicy, zażywszy po dwadzieścia kropel, dopiero zasiedli do dalszej pracy; Szczukina zaś siedziała jeszcze około dwóch godzin w przedpokoju i rozmawiała z odźwiernym, oczekując powrotu Kistunowa.

Przyszła i następnego dnia.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*.

Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/bezbronna-istota>

Tekst opracowany na podstawie: Anton Czechow, *Śmierć urzędnika*, tłum. A. W., "Biblioteka Groszowa", Warszawa, 1926

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BN.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Aleksandra Żurek.

ISBN 978-83-288-0142-4

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).